

Fragment nr 2

Zofia Kossak, *Topsy i Lupus*, Warszawa 1959, (fragment Rozdziału XVIII ze str. 175-186)*.

Znakomita książka Zofii Kossak to piękna opowieść o przyjaźni, odpowiedzialności i męstwie, która toczy się w dwóch planach: opowiada o losach uprowadzonego do cyrku psa i równolegle przedstawia przygody chłopców ruszających mu na ratunek. Topsy był szczęśliwym psiakiem, miał cudownego przyjaciela Lupusa, z którym każdy dzień był wielką przygodą. A potem, by zrobić przyjemność chorej dziewczynce, Topsy nauczył się kontaktować z ludźmi za pomocą specjalnego alfabetu. Zły dyrektor cyrku porywa Topsiaczka. Ale na ratunek rusza Lupus i dwaj dzielni chłopcy: Julek i Włodek. Bo przyjaciel nie zostawia się w biedzie. Nie każdy, kto dopuszcza się zła jest okrutnym człowiekiem. I tak Francek, który oddał psa do cyrku, odkupuje swoje winy, podczas gdy dyrektor Sławiczek do końca pozostaje złym.

Bohaterowie: psy Topsy i Lupus, chłopcy Julek i Włodek, ich kolega Francek, dyrektor cyrku Sławiczek

*zachęcamy do przeczytania całej książki

W niewielkim miasteczku, jakim jest malowniczo położony Dynów, sędzia Domański znalazł nocleg w hotelu; chłopców kierownik szkoły zgodził się umieścić w jednej z izb pustego z powodu wakacji szkolnego budynku. Dostali słomy na posłanie i czuliby się całkowicie zadowoleni, gdyby nie troska o to, co dalej? W którym kierunku prowadzić poszukiwania? Jak odnaleźć nieznanego Niemca, brata dyrektora? Przy tym pieniądze, otrzymane za mimowolny udział w filmie, były na wyczerpaniu, apetyty zaś wszystkich trzech i wilczura nie zmniejszały się, raczej rosły. Więc co robić? Szukać zarobku, czy szukać Topsego i Lotki? Ach, było o czym myśleć i długo w noc przewracali się bezsenne.

— I ten nieznośny Lupus, który się wciąż kręci — narzekał Julek — leżeć, Lupus, leżeć!

— To ty mu nie dajesz spać — sarknął sennym głosem Włodek — szeleścisz tą słomą; pies myśli, że tam jest szczur...

Lupus czmychnął nosem ubawiony. On by nie rozróżnił, czy jego pan się rusza czy szczur!

— A gdzie jest Francek? — dopytywał Julek rozglądając się po klasie oświetlonej księżycowym blaskiem.

— Poszedł spać na werandę. Mówi, że mu tutaj za gorąco...

— Pójdę chyba do niego...

— Ani myśl o tym! Lupus pójdzie za tobą i jeszcze gdzie poleci...

— To prawda.

— ...Śpijcież wreszcie — wzdychał pies zniecierpliwiony. Zwinął się w kłębek i znieruchomiał w pozie głębokiego snu. Gdy nakoniec rozległo się zgodne chrapanie obu młodzieńców, wstał bezszelestnie, podszedł ku drzwiom i wsunął pod nie łapę. Ustąpiły łatwo. Wyśliznął się na werandę. Już zbiegał po schodach, gdy za nim rozległo się ciche gwizdnięcie. Francek! Spostrzegł go!

Wilczur zawrócił jak niepyszny, tknął mokrym nosem uspokajająco dłoń chłopca i zwinawszy się przy nim powtórzył poprzedni manewr rzekomego uspienia. Udało się. Francek zasnął. Lupus ulotnił się jak duch.

Już stał pośrodku drogi i podniósłszy nieco łeb węszył górnym wiatrem nieokreślone przecucia głosów, szmerów. Wkoło leżała cisza późnej nocnej pory. Niedaleko ciemniał las. Zdawał się być otwartą szkatułą niewysłowionych wrażeń. Las — nocą! Upajające wrażenie ciągnęło wilczura przemożnie, lecz tajemniczy instynkt nalegał. Sygnalizował bliskość, zalecał pośpiech. Zamiast zanurzyć się w lesie, pies zaczął z nosem przy ziemi zataczać kręgi

najpierw wokół szkoły, potem coraz szersze, dalsze, zawsze prawidłowo zamknięte. Snuł się jak szary, chybki cień. Nagle, aż przystanął ze wzruszenia. Znalazł czego szukał! Nie odrywając nosa od ziemi popędził tak pewnie, jak gdyby gonił na oko.

Biegł wąską ścieżką prowadzącą gęstym lasem. Ścieżka była kręta, pięła się pod górę, schodziła w dół. Przekraczała strumień chyboczącym mostkiem. Lupus wbiegł na mostek i cofnął się, nagle uderzony w nozdrza ostrym, nieoczekiwanym zapachem. Czy całkowicie nieznanym? Chyba nie. W pamięci psiej, tak doskonałej, że nigdy nie zapomina niczego, majaczyło niejasne wspomnienie. Wilczur przypadł do ziemi, rozpląszczył się w sposób, który mówił: Pozwól mi spokojnie przejść.

— Przechodź — wionęło z ciemności. Dialog, jaki się zawiązał, pozostawał w rejestrach niedostępnych dla ludzkiego ucha, obaj rozmówcy jednak słyszeli się nawzajem doskonale.

— Spotkałem cię już kiedyś, o wielki kudłacz — stwierdził pies z szacunkiem.

— Być może — przyznała ciemność obojętnie. — Gdzie idziesz, psie?

— Nazywam się Młody Sprężysty. Ścigam trop Młodego Uszastego...

— Czy tego, co stuka łapą i rozmawia z ludźmi? Lupus z wrażenia podskoczył w górę.

— Ten sam! Znasz go?!

— Znam — potwierdziło zwierzę utajone w mroku.

— Szedł tędy niedawno!?

— Szedł.

— Sam?

— Ciągnął go człowiek, na którego czekam.

— Po co czekasz? Czy to twój pan?

— Nie, to człowiek, którego zagryzę.

— Zagryziesz?! — Lupus zaniepokojony rozpląszczył się znowu. — Czy często zagryzasz ludzi?

— Nigdy dotąd, ale tego człowieka zagryzę. Zerwałem łańcuch, który założył mi mój pan, przyszedłem z daleka i czekam. Ten człowiek chodzi tędy.

W oddali dało się słyszeć gwizdnięcie. Pies nastawił uszu, ciemniejąca w mroku masa poruszyła się gwałtownie.

— To Francek. On mnie szuka — rzucił Lupus uspokajająco.

— Zabierz go! Zabierz! Niech idzie swoim tropem — zażądał Niewidoczny ze złością.

— Zabiorę go.

Niedaleko za mostkiem przez wyrwę w drzewach padało światło księżyca na ścieżkę. Lupus stanął tam, z daleka widoczny, wachlując się przyjacielsko ogonem. Po chwili rozległy się kroki.

— Jesteś, kundlu — zabrzmiał w cieniu głos Francka. — Gdzie ty latasz? To ja za tobą gonię i gonię... Do nogi... Chodź tu!

Pies ani drgnął. Deski zadudniały pod stopami chłopca. Schodząc z mostku potknął się, wyciągnął rękę, omal się nie oparł o grzbiet ukrytego przy drodze niedźwiedzia.

— Na tu, na! Lupus! Piesku! Do nogi! — powtarzał. Pies nie reagował. Dopiero gdy chłopiec przybliżył się na trzy kroki, odskoczył dalej i stanąwszy znów czekał. Ogonem poruszał w sposób najbardziej zachęcający. Oczy błyszczały mu z natężenia zielono jak u wilka. Francek się zastanowił.

— A możesz ty znaleźć trop? Hę? — zapytał.

Nareszcie pojął! Lupus spuścił nos do ziemi i pobiegł niezbyt szybko, by towarzysz mógł nadążyć. W ruchach zwierzęcia było tyle decyzji, że Francek nie miał już wątpliwości. Pies odkrył ślad.

— Szukaj piesku, szukaj — zachęcał gorączkowo, biegnąc.

Lupus podśmiewał się w myśli. „Szukaj piesku”! Dobrze, że piesek nie czekał! tylko szukał sam... Ach, ci ludzie! Co za kłody! Nie widzą, nie czują, nie słyszą... Koło śmierdzącego niedźwiedzia przeszedł i nie poczuł!

Biegli dość długo. W pewnym momencie Lupus stanął na baczność. Nasłuchiwał dalekiego jak by jęku... ryku...

— Szukaj piesku, szukaj piesku... — powtarzał swoje Francek, który nie dosłyszał nic i sądził, że pies zgubił trop.

Ruszyli znowu. Ścieżka wyszła z lasu, przecięła kołową drogę, majaczącą jasno w pomroce. Naprzeciw był pusty wygon. Za wygonem budynki gospodarskie. Lupus, nie odrywając nosa od ziemi, pędził wprost ku nim.

— Stój! stój! — szeptał zadyszany Francek. Byli już tuż blisko. Na wpół rozwalony płot zaczerpnął przed nimi. Francek schwycił psa za obrozę i usiadł z nim pod płotem, zasłonięty jego cieniem, nie wiedząc, co dalej począć. Serce mu waliło jak młotem.

Niewątpliwie Topsy jest tu, w tej zagrodzie, Lupus czuł jego ślady. A dziewczynka? Czy jest także? Jak ich zabrać? Czy są tam dotąd? Może ich już wyprowadzono gdzie dalej?...

— Pozwól mi iść na zwiady — dmuchnął mu Lupus w rękę... — Ja zobaczę...

Patrzył w twarz chłopca iskrzącymi w mroku oczami tak mądrze, że Francek puścił go. Jednym susem wilczur przesadził płot i znikł w obejściu. Obiegł wokół chatę, węsząc — nic! Obiegł chlewik i naraz zaczął gorączkowo grzebać pod ścianą, sapiąc z wrażenia.

Przeraźliwe ujadanie rozległo się za nim. Żółty kundel, stróż obejścia, niezbyt czujny, bo dopiero teraz się obudził, podniósł gwałtowny alarm.

— Nie bądź głupi — warknął Lupus, przestając na chwilę kopać — przyszedłem po tego Uszastego, który tu jest i który cię pewno objada...

— Dają mu więcej niż mnie! dają mu dużo więcej! — poskarżył się stróż jękliwie.

— Więc nie rób hałasu, bo mnie odpędzą, a on zostanie na zawsze.

Żółty zamilkł, przekonany, i odstąpił. Lupus ze zdwojoną gorliwością zabrał się do pracy. Kopał zawzięcie, przykładając nos do dziury, dmuchał głośno, nareszcie z wewnątrz odpowiedziało znajome dmuchnięcie. Rozpoczął się psi bezgłośny dialog.

— To ty? — pytał Lupus.

— Ja — łkał Topsy — ja!... och, poznaję cię! Więc ciebie także złapali?

— Zawsześ niedołęga... nikt mnie nie złapał... przyszedłem po ciebie... kop od tamtej strony...

Topsy niezdarnie szurał pazurami.

— Strasznie tu twarda ziemia — jęknął.

— Julek jest też blisko... — dmuchnął dla zachęty Lupus.

— Och, złapią was na pewno... zabijają... uciekajcie... ja się boję...

— Zgłupiałeś widzę do reszty. Czy dziecko jest tu także?

— Jest, Gruby ją przyprowadził..

— Gdzie? — gadaj prędko...

— Sypia w stodole... W izbie nie chcą jej trzymać, bo ciągle płacze. W stodole też płacze, bo się boi, ale nikt nie słyszy...

— A stodoła, czy zamknięta?

— Zdaje mi się, że tylko na drąg...

Rozmowa nie przeszkadzała im w pracy. Jeszcze parę grzebięć i Topsy wycisnął się z trudem na powierzchnię. Obwąchali się po bratersku, radośnie, nie tracąc czasu na niepotrzebne czułości.

— Prędszej, prędszej — naglił Lupus — trzeba zawołać Francka, żeby otworzył stodołę...

— Francek tu jest? — przeraził się Topsy i skulił ogon pod siebie, gotów uciekać.

— Nic się nie bój, tylko chodź.

W rozpędzie wilczur skoczył na głowę Francka, któremu czas dłużył się niezmiernie. Siedział pod płotem myśląc, co będzie, gdy kto wyjdzie z chaty i zapyta, czego tu chce. Zbierała go chwilami chęć wracać z powrotem.

Na widok obu psów oniemiał z radości. Ale Lupus szarpał go gorączkowo za rękaw, ciągnąc ku stodołę. Zrozumiał: tam musiała być mała. Lecz żółty kundel podniósł nowy wrzask.

— Uspokójże się! — syknął Lupus — chcemy jeszcze zabrać to cudze dziecko, które cię też pewnie objada...

— Ale ten obcy! po co ten obcy! co on chce!?! — darł się pies.

— Chce otworzyć stodołę i zabrać dziecko, a ty bądź cicho, bo cię zagryzę.

— Czy na pewno, na pewno, nie ruszycie nic z tego, co należy do mojego pana?...

— Na pewno, bądź spokojny... Zabierzemy tylko dziecko, które nam skradli, i Uszastego...

— Bierzcie więc sobie.

Usiadł przed budą, nie spuszczać z nich podejrzliwych oczu. Noc bielała. Wstawał perłowy tuman. Wśliznęli się do stodoły. Topsy liznął językiem twarz uśpionej Lotki.

— Do mamy... Do mamy — szepnęła jej w ucho Francek. — Nie krzycz, to cię zaniosę do mamy, do mamy...

Dla pewności zasłonił jej buzię ręką; nie wrywała się, patrząc na niego zdumionymi oczami, niepewna, czy nie śni.

— Do mamy... do mamy, do mamy... — powtarzał Francek, jak kołysankę, wynosząc ją ze stodoły. Żółty pies wśliznął się tam natychmiast, by sprawdzić, czy czego nie wzięli, pogrzebał pogardliwie nogami i wrócił spokojnie do budy.

— Szukaj! szukaj! — szeptał Francek do Lupusa zbytecznie, bo ten i tak trzymał się pilnie śladu. Co chwila obracał się ku nim, nagłąc wzrokiem. Lecz Topsy sapał z wysiłku, odwykły od biegu — Francek dźwigał dziewczynkę. Świt wstawał. Zroszone krzaki trzepały ich po twarzach mokrą kiścią.

Spiesznie kroczyli przez las. Nic im nie groziło, niemniej Francek rad był stanąć jak najprędzej w Dynowie.

Taki łotr Sławiczek nie wiadomo co jeszcze może wymyślić. Przy mostku na strumieniu ujrzeni zdeptaną trawę, połamane krzaki, liczne ślady. Lupus obwąchał grunt. Topsy uczynił to samo i z przerażenia padł na ziemię jak nieżywy.

— Nie pójdę do cyrku! — skomlał. — Tu był Gruby! Tu jest cyrk!

— Ruszaj, głupcze! — nagli Lupus, lecz trwoga obezwładnia uczonego psa. Leży jak sparaliżowany. Nie ma rady. Francek trzymając jedną ręką uwieszoną u jego szyi Lotkę, drugą zgarnia sobie Topsego pod pachę i tak maszeruje niosąc obie zguby. Przerażony pies wywraca ślepią i wywala ozór. Lupus zdąża z tyłu, wymyślając przyjacielowi.

— Niedołęgo! — warczy. — Nosić cię trzeba! Jeśli natychmiast nie pobiegiesz sam, pogryzę ci zadek, że mnie popamiętasz!

Brzmi to tak groźnie, że Topsy ku uldze Francka zesuwa się na ziemię i drepcze sapiąc przy nodze. Dzień już jest jasny, perlisty, rzeźwy. Wychodzą z lasu, przed nimi dachy miasteczka. Lupus wrywa przodem z ogonem wzniesionym w górę jak sztandar zwycięstwa. Topsy lękliwie nadąża za nim.

— Dokąd idziemy? — dopytuje co chwila.

— Do cyrku — odpowiada wilczur ze złością. Drażni go tępota kolegi. Czy możliwe, by stracił węch do tyła, że jeszcze nie wie o bliskości Julka, Władka? Prawie jak by był człowiekiem?!

Dopiero gdy podeszli tuż pod szkołę, profesor Sapientissimus zrozumiał. Skowycząc spazmatycznie, sapiąc, wijąc się jak wąż, drapie do drzwi, za którymi czuje swego pana! Swego pana! Drzwi się otwierają, oba psy i Francek z wystraszoną Lotką wtłaczają się do

izby. Wrzawa radości i niedowierzania, chwytanie kolejno w objęcia Topsego, Lupusa, Francka, któremu po raz pierwszy w życiu oczy promienieją. Przez niego Topsy zginął i on go odnalazł.

W drzwiach stanął sędzia Domański.

— Chłopcy, nie hałasujcie tak — zaczął surowo i urwał, patrząc z nieopisanym zdumieniem na dziecko i psa.

— To oni, panie sędzio! To oni! Francek ich odnalazł!...

— Po prawdzie — wtrącił Francek — to Lupus, nie ja...

— Bogu Najwyższemu dzięki. Mniejsza kto... Grunt, że są... Chodźcie, chodźcie...

Wprowadził ich do pokoju kierownika. Na łóżku leżał jakiś człowiek cały w bandażach. Rzęzał głośno. Ksiądz, lekarz i kierownik stali przy nim, a u wezglowia stał jeszcze ktoś czwarty — Śmierć.

Tym człowiekiem był Slawiczek, dyrektor i właściciel cyrku „Gloria”. Szedł nocą na kolonię niemiecką do brata, prawdopodobnie w celu obmyślenia dla psa i dziewczynki odleglejszej kryjówki. By nie zwracać niczyjej uwagi, nie pojechał drogą, lecz obrał skrót leśną ścieżką. Gajowy obchodzący las nocą znalazł go przy mostku straszliwie poszarpanego.

— Panie Slawiczek... — rzekł sędzia dobitnie. — Bóg ulitował się nad panem i nad biedną Michaliną... Dziecko już znalezione... oto ono... i pies także...

Zdumienie błysnęło w oczach rannego. Uniósł z wysiłkiem głowę, spojrzął na nich wszystkich. Wodził gasnącym wzrokiem po obecnych, po skulonym Topsym, jak gdyby dziwiąc się, że oni są tu wszyscy razem, a on odchodzi — po czym przymknął oczy.

Wyszli wszyscy na palcach, zostawiając tylko księdza i doktora. Stanęli w sąsiedniej izbie przejści, poważni, oszołomieni.

— Już nie żyje... — rzekł doktor, otwierając drzwi.